

## 5. Potrójnie zdumiewające

Jak wcześniej sygnalizowałem, harcerstwo od początku leżało w mej młodzieńczej naturze i przybliżało - mniej lub bardziej świadomie - do żołnierki wywróżonej przeciw przez gosposię z Suska. Apogeum jednak drogi w tym kierunku, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym, nadeszło w sierpniu 1946 roku. Znalazłem się na obozie, na którym spartańskie warunki egzystencji, samodzielność uczestników w podejmowaniu szybkich decyzji, samodyscyplina w szkoleniu i zadania polowe, były bodaj najbliższe procesowi przygotowania oficera. Był to kurs przeznaczony dla harcerzy dorosłych, z reguły będących już po maturze i w stopniu co najmniej „Harcerza Orlego”. Nad pięknym zalewem w Turawie na Opolszczyźnie, namioty mieściły około tysiąca druhów z całego kraju, skierowanych tu na kurs podharcemistrzowski. Kurs ten zorganizowało Naczelnictwo ZHP w ramach II Centralnej Akcji Szkoleniowej (w skrócie: II CAS) . Każda z kilkunastu chorągwi miała tu własny obóz. Ja znalazłem się, oczywiście, w obozie Chorągwi Mazowieckiej.

Komendantem „Mazowsza” był hm. Zygmunt Żuk-Rybicki, który wywodził się z częstochowskich Szarych Szeregów. Obożnym był natomiast Tadeusz Wiśniewski. „Żuka” lubiliśmy wyjątkowo, ponieważ był stosunkowo młody (21 lat), przystojny, dobrze się prezentował w instruktorskim mundurze, był świetnym organizatorem i wykładowcą, potrafił wygłosić ciekawą gawędę podczas ogniska a ponadto lubił brać udział w śpiewie i różnorodnych harcerskich kawałach. Otaczała go przy tym aura powstańczego bohaterstwa. Pamiętam zresztą, że po zakończeniu obozu, kiedy pociąg przywiózł harcerzy mazowieckich do Warszawy, „Żuk” uznał za nieodzowne pomaszerowanie z nami do harcerskiej kwatery Szarych Szeregów na Powązkach, co niewątpliwie miało symbolicznie i patriotycznie zaakcentować moment rozstania.

Podczas II CAS- u , oprócz zajęć teoretycznych i egzaminów, odbywały się liczne i trudne sprawdziany praktyczne, powiązane przeważnie z tzw. biegami harcerskimi. Niektóre z tych zajęć ocierały się omal o wstępne próby komandosów - np. w pokonywaniu przeszkód wodnych, wchodzeniu na drzewa, opatry-

waniu i ewakuacji rannych, w sygnalizacji niekonwencjonalnymi sposobami, naturalnym wyżywieniu się w lesie i w polu, rozpalaniu ognia przy pomocy huby oraz krzemienia itp. (Nic przeto dziwnego, że w powstałej tam piosence mogłem śmiało użyć słów: „Instruktorskie drużyny zdają egzamin bojowy”...)

Do trudniejszych zadań - bo związanych z bezpieczeństwem zdrowotnym kilkudziesięciu osób - należało też przyrządzenie całodziennego wyżywienia dla własnego obozu przez zaledwie



To zdjęcie, obejmujące tylko część szkolonych nad Turawą, mówi jak liczny był to kurs. U góry, w centralnym punkcie, siedzi i przemawia premier Osóbka-Morawski. Sierpień 1946 roku.

dwóch, wyznaczonych rozkazem dziennym, kursantów. Trzeba było przy tym gotować potrawy w prymitywnych warunkach i przy wykorzystaniu wody z jeziora. Pamiętam, że najczęstsze (a zarazem przysłowiowo najkłopotliwsze) było gotowanie kaszy, ponieważ ta bardzo i często lubiła się przypalać. Również szorowanie kotłów w jeziorze jedynie przy użyciu piasku, czyli bez możliwości posługiwania się jakimkolwiek środkiem chemicznym, stanowiło zawsze wystarczającą torturę.

Przeszedłem szczęśliwie te wszystkie próby na stopień podharcmistra. Ponadto bardzo szybko stałem się osobą bardzo lubianą przez przełożonych i rówieśników, ponieważ potrafiłem tworzyć satyrę obozową, grałem na akordeonie, i śpiewałem. Najważniejsze zaś, że już w pierwszym tygodniu ułożyłem piosenkę, która stała się dumą naszego obozu, a potem nawet wygrała konkurs. Był to konkurs nie byle jaki, bo ogłoszony przez Naczelnictwo ZHP. Przewodniczącym jury był sam Dargiel. Harcmistrz Jerzy Dargiel był aktorem, autorem i kompozytorem, natomiast - w konsekwencji zajmowania się kukielkami w



Harczerz Rzeczypospolitej, J. Chojnacki (drugi od prawej w pierwszym szeregu) podczas zbiórki nad Turawą. Drugi od lewej: Z. Wroński.

środowisku wychowawczym - także, przez 25 lat, dyrektorem warszawskiego teatru „Baj”. Ten druh jest do dziś w harcerstwie postacią kultową. Stało się tak głównie za sprawą jego „szaro szeregowych” pieśni, takich choćby jak powstańcza „Dorota” oraz takich powojennych, harcerskich przebojów, jak „Otwarte okna w szeroki świat”, lub przeboju o harcerskiej piosence, co

to płynie „Przez pola, lasy i łąki, wplątana w konary drzew, z poranną pieśnią słowika, jak wichru wiew...”



Autor (w białym fartuchu) podczas przyrządzania obiadu dla całego obozu Mazowsza. Nad Turawą, sierpień 1946 roku.

Ponadto, w Naczelnictwie ZHP druż Jerzy zajmował się wszechstronnie sprawami artystycznymi prowadząc m.in. ciekawe - i do dziś wspominane - warsztaty dla domorosłych animatorów kultury, wyróżniających się w drużynach, hufcach i chorągwiach. Jedne z takich warsztatów, pod koniec lat czterdziestych, prowadził również w bliskim mi Płocku. Osobiście, spotkałem się z nim tylko raz, właśnie podczas II CAS-u.

Konkurs, który głównie on rozstrzygał, otwarty był dla wszystkich, a uczestników nie oceniano anonimowo. Za namową kolegów stanąłem w szranki tegoż konkursu. Moje szanse początkowo wydawały się niewielkie, ponieważ wśród tysiąca przyszłych instruktorów przynajmniej setka drużów - głównie

Wielkopolan - posiadała wykształcenie muzyczne pierwszego, lub nawet drugiego, stopnia. Ja natomiast byłem kompletnym amatorem. Konkurs ten jednak wygrałem.

Piosenka „Szare płótna namiotów stoją nad brzegiem Turawy” była niezła tekstowo i muzycznie, jednakże jej największą zaletą było po prostu to, iż była dobrze i chętnie śpiewana, zanim jeszcze Jerzy Dargiel się u nas pojawił i zanim ogłoszono konkurs. O ile dobrze pamiętam, mazowiecki obóz popisywał się nią po raz pierwszy podczas gremialnego spotkania wszystkich chorągwi z premierem Osóbką- Morawskim. Również, już przed rozstrzygnięciem konkursu, prawa autorskie zarezerwowała sobie Składnica Harcerska w Krakowie, natomiast jeszcze wcześniej (o czym Dargiel nie wiedział) zgody na druk udzieliłem miesięcznikowi „Na Tropie”.



Szare płótna namiotów stoją nad brzegiem Turawy

A oto tekst tej pieśni:

Szare płótna namiotów  
 stoją nad brzegiem Turawy  
 to obóz nasz już gotów  
 do twardej, harcerskiej zaprawy.  
 Ta ziemia krwią ojców święcona  
 do wielkiej nas wzywa roboty,  
 Niech porwie nas praca szalona,  
 niech biją nam serca jak młoty!

Refren:

Podajmy sobie dłonie,  
 harcerze z Polski całej.  
 Niech ogień radości zapłonie  
 w młodzieńczej duszy śmiałej,  
 niech głównie z naszego ogniska  
 z Opola przez kraj wędrują,  
 niech zapał nam z oczu tryska,  
 niech szczęściem się twarze malują.

Instruktorskie drużyny  
 zdają egzamin bojowy,  
 wesole, dziarskie miny  
 - aż szumi bór stary, sosnowy.  
 Zapachem leśnej żywicy  
 tak dobrze oddychać głęboko,  
 po starej śląskiej ziemi  
 z piosenką wędrować szeroko...

Po rozstrzygnięciu konkursu, Dargiel najpierw spotkał się ze mną nad Turawą, aby mi pogratulować. Później zaś, kiedy mieszkałem już na Wybrzeżu i starałem się o uzyskanie indeksu na Politechnice Gdańskiej, nieoczekiwanie dotarł do mnie - okreśną drogą - następujący list:

„ZHP Naczelnictwo  
Dział Wychowania Artystycznego  
L.dz. 107 / 46

Warszawa, 19 wrzesień 46 r.

Dh Chojnacki Jan HR <sup>14/</sup>  
Sierpc, Tułdzieckiego 5

Zawiadamiam Was uprzejmie, że piosenka Wasza z CAS-u została przekazana przez Kom. Konkursową do zbioru Działu Wychowania Artystycznego. Ponieważ Dział, ze swej strony, proponuje pewne drobne zmiany oraz zmianę zasadniczą - którą jest nadanie piosence charakteru bardziej ogólnego niż CAS - przesyłam proponowany przez Dział W.A. tekst piosenki oraz nuty. Proszę o jak najspieszniejsze ustosunkowanie się do wysuniętych propozycji.

Tekstu i nut Waszej piosenki nie wysyłam na razie do Składnicy, natomiast sprawa drukowania piosenki w „Na Tropie” jest nie tylko aktualna, a bardzo pilna. Na ten temat, zdaje się, nie mieliście zastrzeżeń podczas naszej rozmowy nad jez. Turawa. Myślę, że i Składnica nie będzie protestowała, jako posiadaczka Waszych praw autorskich. „Na Tropie” chce drukować piosenkę już w najbliższym numerze i niezbędnie potrzebne jest Wasze „placet” - tekst i nuty „Na Tropie” już ma. Brak gwałtownego sprzeciwu z Waszej strony uważany będzie za wyrażenie zgody. Proszę Was o zachowanie bezpośredniego kontaktu z Działem W.A.. Czuwaj! Kierownik Działu Wychowania Art. Dargiel Jerzy hm.”



Harcistrz Jerzy Dargiel prowadzi kolumnę swoich harcerzy ulicami Warszawy

W załączonych do tego listu nutach i słowach - wbrew zapowiedzi Dargiela - nie zauważyłem jakiejś zmiany utworu na bardziej uniwersalny. Pozostały w piosence i „Turawa” i „instruktorskie drużyny”. Dostrzegłem jedynie zmianę jednego wyrazu w końcówce pierwszej zwrotki. Słowo „młoty” druha Jerzy proponował zamienić na „młotem”. Z tym

<sup>14</sup> Skrót „HR”, to skrót stopnia harcerskiego: „Harcerz Rzeczypospolitej”

się zresztą nie zgadzałem i odpowiadając pozytywnie na propozycje Kierownika Działu Wychowania Artystycznego, w liście z 30 września 1946 roku, napisałem m.in.:

*„Sądzę, że w tekście mi dostarczonym zaszła drobna pomyłka. Wg mnie, powinno pozostać „niech biją nam serca, jak młoty” a nie „jak młotem”, bo zmieni się sens zdania i średnia przyjemność być bitym w serce. Jeśli to nie jest pomyłka, a czas pozwoli, to proszę tę małą poprawkę wziąć pod uwagę.”*

\* \* \*

Po trzydziestu czterech latach od pamiętnego II CAS-u nad Turawą przebywałem w Płocku, z okazji jubileuszu osiemsetlecia powstania szkoły, która obecnie nosi miano „Małachowianki”. Wówczas to, między innymi, w piwnicach tej prastarej budowli, otwarto piękną i obszerną harcówkę. Nie czyniono jednak z tego faktu żadnej oficjalnej ceremonii, ponieważ głównym punktem programu było oddanie do użytku całego nowego skrzydła gmachu, dużej sali gimnastycznej, unikalnego muzeum szkolnego i obserwacyjnej wieży astronomicznej. Dlatego też w harcówce zebrał się dawni drużynowi oraz funkcyjni 89 Mazowieckiej Drużyny Harcerzy i ad hoc zaimprovizowali program polegający na serwowaniu autentycznych anegdot z czasu pełnienia funkcji w harcerstwie oraz na przeplataniu tych opowieści piosenkami. Całe to spotkanie w harcówce, nie było wcześniej anonsowane, lecz poszczególni dawni instruktorzy ściągani byli z tłumu uczestników zjazdu na zasadzie „podaj dalej i to na ucho”.

Mnie wyłowiono spośród tysięcznej rzeszy absolwentów obecnych na dziedzińcu - bodaj jako ostatniego. Nagle serce mi mocniej zabiło, kiedy schodząc po schodach już usłyszałem z głębi izby gremialnie i bardzo głośno śpiewaną piosenkę „W nadwiślańskim grodzie”.

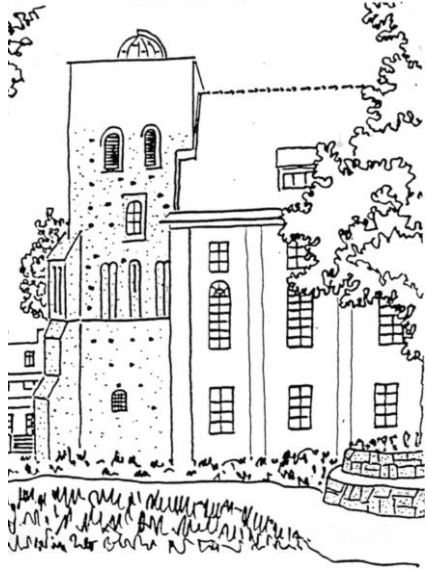
Gdy - nieoczekiwanie dla obecnych już tam instruktorów - zjawilem się w harcówce, zaistniał zaskakujący entuzjazm, a moi dawni druhowie, nie przestając śpiewać wzięli mnie na ramiona i podrzucali pod sufit. Potem, podobnie jak poprzednicy, przytoczyłem anegdotę z mego harcerskiego życiorysu. Opowiedziałem przygodę związaną z obozem nad Turawą a brzmiała ona mniej więcej następująco:



Do moich ulubionych zabaw ogniskowych w harcerstwie należał między innymi „Pochód Beduinów z wielbłądem”. Pochód kończył się przeważnie modlitwą, która miała spowodować na przykład: mniejszą częstotliwość serwowania kaszy gryczanej na obiad, zaniechanie przez oboźnego paradowania w czerwonych skarpetkach, zniknięcie uciążliwych komarów, zmianę pogody itd. itd. Głównie była to jednak niebylejaka okazja do ostrej, swobodnej oraz koniecznie dowcipnej satyry obozowej.

Układanie wersetów modlitewnych przychodziło mi z dużą łatwością i uważany byłem za mistrza w tej dziedzinie. Wobec tego powierzano mi przeważnie prowadzenie całego pochodu a potem recytowanie swych prośb i błagań. Muszę jednak przyznać, że najbardziej frapowała mnie nie tyle modlitwa, co poprzedzający ją pochód. W poświęceniu ogniska sylwetki dwugarbnych wielbłądów i karawan Arabów, były uroczym zjawiskiem typu teatralnego, choć całe przedstawienie pozwalało się realizować najprostszymi, dostępnymi na każdym obozie, środkami.

Aby w ciągu minuty wyczarować Beduina, wystarczyły bosa noga, prześcieradło narzucone na lepetynę i ręcznik zawiązany na podobieństwo turbanu. Natomiast, aby wykreować wielbłąda, wystarczyło dwóch chłopaków, koc, kawałek kija oraz jakiś trzewik. Moja rola, jako głównego Beduina, polegała na prowadzeniu wielbłąda i całego pochodu w kierunku ogniska oraz na zawoźdzeniu wysokim głosem (podobnym do śpiewu Muezina) tekstu w rodzaju: „Koło mego ała rosną pomarańcze”,... „Koło mego ała rośnie krzew oliwny”,... „Koło mego ała rośnie wielka palma” „Koło mego ała rośnie piękna figa”... Kiedy mi już brako-



Małachowianka. Rys. autora 1980 rok.

wało pomysłu odwrotnie ustawiałem słowa, np : „Piękna figa rośnie koło mego ała”...itd. Po każdym z tych zdań współuczestnicy pochodu zbiorowo odpowiadali kontrastowo niskim głosem : „Ała... ała... ała...”

Swoje zaśpiewy wymyślałem już w czasie pochodu i wszystko było w porządku, gdy ukrycie, z którego pochód wyruszał, leżało blisko i aby dotrzeć do ogniska, zawodzenia nie musiało być dużo. Jednakże nad Turawą zdarzyło się, że ognisko rozpaliliśmy wyjątkowo daleko od lasu, a pochód trzeba było przecież rozpocząć od ukrytej tam „garderoby artystów”..

Na początku drogi wszystko odbywało się normalnie i - jak zwykle - wyśpiewywałem z całej siły, jak to „Koło mego ała” rosną piękne figi, pomarańcze, palmy, oliwki itd., a bosonodzy chłopcy powtarzali swój standardowy refren: „ała, ała”. Jednakże w pewnym momencie concept głównego Beduina całkowicie się wyczerpał, a do ogniska pozostało jeszcze, niestety, ze trzydzieści metrów.

Wszyscy w napięciu czekali, co też to - jako następne - będzie rosło na pustyni druha Janka? A mnie, wręcz naprzykrzyło się bez końca wysilać mózgownicę i długo się nie namyślając, na odczepnego, zaśpiewałem: „Koło mego ała po prostu nic nie rośnie!”... „Koło mego ała w ogóle nic nie rośnie!”.... „Może by i rosło, gdybym coś zasadził!”...

Oczywiście okazało się, że brakoróbstwo szacownego „Muezi-na” wywołało zupełnie niezamierzony, dodatkowy efekt komiczny, który spowodował huragan śmiechu. Teraz też - w płockiej harcówce - opowiadanie ilustrowałem bieżąco śpiewem muezi-na. Wywołało ono śmiech oraz zwyczajowe „Braawo, braawo, brawissimo!”

Dokładnie w tym momencie, w stosunkowo odległych drzwiach harcówki ukazał się nie kto inny, tylko świadek moich dawnych, obozowych inscenizacji, a obecnie rektor UW, profesor Zygmunt Rybicki. Przebywał wtedy w Płocku w jak najbardziej oficjalnej misji towarzysząc Przewodniczącemu Rady Państwa, Henrykowi Jabłońskiemu. Rybicki wszedł do harcówki w towarzystwie Prezesa Towarzystwa Naukowego Płockiego, doktora Jakuba Chojnackiego. Ten ostatni był motorem wszelkich spraw związanych z rozbudową szkoły oraz jubileuszem jej 800 - lecia. Zapewne - po zademonstrowaniu Jego Magnificencji

nowych i zrekonstruowanych obiektów szkolnych - pan Jakub chciał się w końcu pochwalić także i harcerską izbą, z pietyzmem odrestaurowaną w najbardziej zabytkowej, romańskiej części budowli.

I oto w tym momencie stała się **rzecz potrójnie zdumiewająca** - nie tylko dla uczestników harcerskiego spotkania, ale także i dla mnie osobiście.

**Po pierwsze** bowiem, stojąc jeszcze w drzwiach, Magnificenja wyciągnął nieoczekiwanie obydwie ręce w moim kierunku i z niekłamany okrzykiem zadowolenia: „O, Jasiu Chojnacki!”, przebiegł ostentacyjnie przez harcówkę, aby mnie uściskać serdecznie, niczym najbliższego przyjaciela. Był to gest o tyle zaskakujący, że podczas II CAS-u pozostawaliśmy jedynie na stopie służbowej i nigdy nie mówiliśmy do siebie po imieniu. Natomiast po zakończeniu obozowania w Opolskiem, aż przez 34 lata nie miałem żadnej okazji do bezpośredniego z nim spotkania. Natomiast, poczynając od lat sześćdziesiątych, ze zrozumiałym zainteresowaniem śledziłem z daleka coraz to liczniejsze wzmianki o wciąż wzrastającej karierze uniwersyteckiej mego dawnego komendanta. Muszę się przyznać, że w latach 1969 - 1980 byłem wręcz dumny widując go od czasu do



J.M. Rektor UW, prof. dr Zygmunt Rybicki, podczas wizyty w Płocku, w roku 1973.

czasu na ekranie, w zdobnej gronostajami rektorskiej szacie. Ta jego wysoka godność - jak mi się wydawało - tworzyła między nami dystans nie do przebycia i osobiście nigdy bym się nie odważył na poufałość li tylko z tytułu dawnych, epizodycznych więzi harcerskich.

**Po drugie** - natychmiast po tym przywitaniu - Magnificencja poprosił mnie o zaśpiewanie naszej piosenki z nad Turawy i myślę, że właśnie ona uczyniła mnie w jego oczach kimś bardzo bliskim. Poza tym - jak się okazało - pomimo tak odległego czasu i wciąż wzrastającej pozycji społecznej Zygmunta Rybickiego, gdzieś **w zakamarkach jego pamięci ta drobna piosenka z młodzińczych czasów pozostała czymś na tyle ważnym, że dla niej gotów był odrzucić na chwilę - tam w Płocku - całą powagę rektorskich gronostajów i łańcuchów.**

**Po trzecie** - stała się rzecz najgorsza z możliwych. Tak wyjątkowo uhonorowany **twórca piosenki** - zaszokowany najpierw spontaniczną manifestacją grona rówieśniczego a potem równie spontanicznym zachowaniem szacownego druha rektora - **nie był w stanie przypomnieć sobie w owym momencie ani pięknych słów „Zapachem leśnej żywicy tak dobrze oddychać głęboko, po starej śląskiej ziemi z piosenką wędrować szeroko”, ani choćby skrawka własnej melodii sprzed prawie czterdziestu lat.**